

"Smocze Łzy XXXVIII - Pamiątka"

<< [Rozdział XXXVII](#) - [Rozdział XXXIX](#) >>

=====

Zachodzące Słońce, rażąco przebijające się przez firanki umieszczone w królewskim powozie obwieszczało, że niedługo nadejdzie zmrok. Dwie klacze leżały spokojnie na przeciwległych ławach w środku pędzącej po niebie karety, która ciągnięta przez szóstkę pegazów leciała pospiesznie na północ.

- Daleko jeszcze? - wymamrotała z wyrzutem Luna, przewracając oczami
- Przed północą będziemy na miejscu.

Ciemna klacz położyła głowę na poduszce. Dwa dni podróży doprowadzały ją do szaleństwa. Mała przestrzeń, jaką tradycyjnie musiała dzielić ze swoją wiecznie poważną i nie mającą ochoty na rozmowy siostrą, brak postojów i możliwości rozprostowania nóg powodował, że młodsza księżniczka była bliska eksplozji. Drażnił ją każdy detal wykończenia. Uprzednio przepiękne firanki, które wisiały w oknach wyglądały teraz jak ścierki, które cały czas poruszały się, przez co ciągle zwracały na siebie jej uwagę. Poduszki wydawały się zbyt twarde. Ich powierzchnia gryzła. Luna nie mogła sobie znaleźć żadnej wygodnej pozycji, w jakiej mogłaby się ułożyć w oczekiwaniu na ostatnią prostą przed zakończeniem podróży. Nie wiedziała, co ma robić. Próbowwała zabić czas wszelkimi możliwymi sposobami, jednak nadal nie miała pojęcia jak znieść kolejne godziny lotu.

W końcu po dłuższym czasie beznadziejnego spędzania czasu postanowiła porozmawiać z siostrą. Ta jednak ponownie odpłynęła do krainy swojego umysłu, przez co ciężko było wyciągnąć z niej cokolwiek.

- Nadal uważam, że to głupota zostawiać Twilight samą - zaczęła Luna, starając się jakoś zainteresować siostrę. - Znowu się wymknie i zrobi coś idiotycznego.

Celestia spoglądała na zewnątrz, zupełnie nie zwracając uwagi na jakiegokolwiek wypowiedzi siostry. Wydawało jej się, że w oddali była w stanie wypatrzyć śnieżne szczyty, jakie wyłaniały się na północy. Oddychała spokojnie, a jej myśli cały czas przelewały się powoli przez głowę, także miała ona dużo czasu na przemyślenie wszystkiego, co udało jej się wygrzebać z odmętów pamięci, a co po złożeniu w całość mogłoby się przysłużyć zrozumieniu zachowania Keegena lub co ważniejsze pomocy Twilight i Spike'owi w czasie całego zamieszania, jakie powoli rozpętywało się dookoła.

- Tia, mówię do ciebie...
- Hę? - odparła bezwiednie wrywając się z zamyślenia. - Mówiłaś coś?
- Eh... - wydusiła z siebie Luna, ponownie przewracając oczami w oznaku irytacji. - Wspomniałam o tym, że znowu zostawiłaś małą bez straży.
- Wypominasz mi to piąty raz.
- A ty ciągle nie widzisz w tym nic złego. Wypadałoby coś zrobić, żeby upewnić się czy jest bezpieczna... - rzuciła niby to pytając, niby oznajmując.

Znowu w środku karety zapadła niezwykła wręcz cisza. Tylko wiatr szumiący z zewnątrz naruszał ten niczym nie zmaćniony przestój w rozmowie, który niósł ze sobą ciągle rosnące

napięciu.

- Uraczysz mnie odpowiedzią? - wydusiła w końcu Luna mrużąc oczy w rozzłoszczonym spojrzeniu.

- Nie zadałaś pytania - odparła oziębło.

- Czy zrobiłaś cokolwiek, żeby upewnić się, że Twilight nie ucieknie?

- Szczerze mówiąc... - zastanowiła się przez chwilę. - Nie. Co najwyżej dałam jej zajęcie, które może odciągnąć ją od prób ratowania świata na kilka dni.

- W takim razie jesteśmy zgubione...

- Smok jest w drodze do obozu. Spike jest bezpieczny. Jeśli los jest nam przychylny, to wszystko skończy się wraz z zaprowadzeniem obu do Canterlot. Co może zrobić Twilight? Wypuścić Cerbera na wolność? - rzuciła Celestia z uśmiechem.

Luna nie była w nastroju do śmiechu.

- Zapominasz, że mówimy o Twilight... Jej dziwactwa już niejedną raz o mało nie doprowadziły do całkowitego chaosu. Zastanów się lepiej czy warto tak ryzykować.

Śnieżnobiała klacz na wspomnienie wyjątkowych interwencji, jakich od czasu do czasu podejmowała się w Ponyville spuściła wzrok i podniosła kącik ust, po czym wydmuchnęła powietrze nosem. Jej na pierwszy rzut oka wspaniały humor utrzymał się przez chwilę, dopóki nie zrozumiała, że jej zazwyczaj mało protekcyjna młodsza siostra ma rację. Uśmiech zniknął również z jej twarzy. Luna wpatrywała się przez okno, widząc wyłaniające się z nad równin szczyty gór, których zaśnieżone szczyty rażąco odbijały ostatnie promienie zachodzącego Słońca. W końcu przerwała kolejną niewygodną ciszę.

- Pozostaje jeszcze pytanie... Co ze smokiem?

- Nie wiem... Żadnych konkretów. Musimy go osobiście zobaczyć i liczyć na to, że dowiemy się, co właściwie planuje. Na tym polu mam nadzieję na szybką reakcję Twilight. Właściwie to...

- Nie o tym smoku mówię, siostrzyczko.

Raz jeszcze Celestia wbiła wzrok w podłogę. Teraz jednak była to oznaka bezradności. Nie była gotowa, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Zdarzyło się tyle rzeczy, że trudno było jasno przedstawić sprawę, także możnaby było jasno określić jakie rozwiązanie będzie dla wszystkich najkorzystniejsze.

- Widzisz, Luna... Musimy poczekać. Pamiętaj, że jeszcze nie jest bezpieczny. Dopóki wszystko nie jest związane na ostatni guzik, nie możemy spokojnie decydować o tym, co robić dalej.

- Ale podstawy do rozwoju planu wypadają mieć. Pytanie jest proste. Twilight czy kolonia?

- Pytanie nie jest proste. Nie wiem, co się z nim dzieło. Mógł przeżyć ciężkie chwile - odparła z lekkim przygnębieniem w głosie. - Boję się o niego. Nie możemy pozwolić, żeby decyzje były podjęte zbyt pochopnie, w momencie, kiedy nawet nie widziałyśmy go całego i zdrowego. Dowiemy się wszystkiego, kiedy...

- Kiedy Twilight wreszcie go zobaczy, a potem zalana łzami zadusi go na śmierć. Potem przez następne miesiące będzie błagała o to, żebyśmy pozwoliły jej z nim zostać... On rośnie, Tia. Myślę, że to najlepszy moment, żeby przeciąć pępowinę. Jak każdy zwyczajny smok musi wreszcie polecieć na migrację i żyć wśród swoich. To tylko kwestia czasu.

- To nie jest zwyczajny smok... - odparła Celestia, na co jej siostra natychmiast zareagowała chęcią oddania celnego kontrargumentu. Niestety już po chwili zamilkła. Nie wiedziała jak odbić piłeczkę po tak celnym strzale. Koniec końców wbiła wzrok w niebo i do końca podróży nie

odezwała się.

Dalszy lot nie trwał jednak aż tak długo jak się spodziewała. Od opuszczenia Canterlot minęło łącznie prawie półtora dnia ciągłego przemieszczania się na północ. Wystarczyło jeszcze kilkadziesiąt minut, aby powóz z księżniczkami zbliżył się do miejsca przeznaczenia, jakim był dla nich obóz rozbitý na południowej granicy Gryfich Gór, gdzie jeszcze kilka dni temu stacjonowała ostatnia linia obrony, jaka miała powstrzymać atak Imperium na północne równiny Equestrii.

Większość przebywających tu kuców nie miała okazji uczestniczyć w walkach. Ciężko ranni zostali już dawno odesłani na południe, a bardziej doświadczeni wyruszyli włąb Imperium, aby osobiście wziąć udział w (jakby się mogło wydawać) samobójczej misji wyznaczonej dla nich przez księżniczki. Świadomi powodzenia akcji oraz zakończenia otwartych bitew, jakie przez swą złośliwość nazywali między sobą "kogucią wojną", lenili się, popijali cydr lejący się litrami z nagromadzonych zapasów, a co zdolniejsi przygotowywali detale, dzięki którym przyłot władczyń miał odbyć się bez jakichkolwiek zgrzytów. Mimo niedawnego niebezpieczeństwa wkoło panowała niezwykle spokojna, wręcz entuzjastyczna atmosfera. Zupełnie, jakby wszyscy żyli swoim dawnym życiem...

Wśród czekających na przyłot władczyń była jednak pewna para kuców, która z sobie tylko znanych powodów niechętnie czerpała garściami z otaczającej ich jarmarcznej aury i nie bawiła się z resztą w momencie otwierania kolejnych beczek cydru. Nie bawili się oni również w chwili przylotu księżniczek. Do samotnej grupy należał jeden poobijany pegaz... i jedna, wygłodzona zebra.

* * *

Daleko na południowy-wschód od obozowiska księżniczek jeszcze jedna osoba obserwowała przepiękne, zachodzące Słońce. Niezwykłe, bezchmurne niebo, istniejące po części dzięki pracy pegazów, które od kilku tygodni nieprzerwanie sprawowały pieczę nad pogodą w całej centralnej Equestrii, wyglądało naprawdę spokojnie. Spokój odbijał się również w powietrzu, które było niezwykle wilgotne, dzięki cudownemu wpływowi rosnących tuż obok borów, roznoszących dookoła cudowny zapach świerkowych igieł. W miejscu jak to, Leanora mogła leżeć w nieskończoność, zapominając o wszystkich problemach. Niczym stary, zmęczony życiem smok położyła się i cały dzień nie kiwnęła nawet palcem. Taka była jej nagroda za cały tydzień nadprogramowych zajęć, jakie musiała przejąć na siebie podczas dosyć długiej nieobecności Drace. Trzeba było przyznać, że jak na początkującą koordynatorkę, nawet bez nadzoru umiała zapanować nad bandą bestii, wysysających wszelkie siły życiowe z każdego zdrowego na umyśle stworzenia. Mimo wszystko była zmęczona, co skutecznie maskowała przed podopiecznymi... Bała się okazywać słabość. Wierzyła, że każda jej niedoskonałość, w nieodpowiednim czasie odbije się na niej, przez co straci kontrolę i nie będzie w stanie zapanować nad chaosem, jaki rozpęta się do czasu powrotu czerwonoogrzywej klaczy. Musiała się strzec. Nieporządek był absolutnie niepożądany.

Spokojny oddech był jedyną rzeczą, jaką można było usłyszeć w ogromnej, smoczjej jaskini. Relaks był jedyną potrzebą i marzeniem smoczycy po kolejnych dniach złożonych z dosyć opornego radzenia sobie z problemami dnia codziennego. Nie narzekała na to.

Narzucona jej została okazja, aby zająć się czymś pożytecznym, przez co miała ona o wiele mniej czasu na swoje własne przemyślenia, które coraz częściej doprowadzały ją do skrajnie przerażających przemyśleń. Praca była jej jedynym sposobem na skuteczną ucieczkę od problemów. Dziś jednak nie musiała pracować, a nadmierne zmęczenie i tygodniowe chroniczne zmęczenie zastąpiło potrzebę wysiłku. Od rana nie myślała zupełnie o niczym poza... niczym. Dzień od wylotu malców na treningi z pegazami zapowiadał się wręcz idealnie.

Usłyszała szurnięcie... Po tym kolejne... Smoczyca usilnie starała się zignorować nadchodzące kroki, mając nadzieję, że jeśli wmówi sobie, że to tylko złudzenie, to one też w to uwierzą. Niestety były prawdziwe. *To tyle, jeśli chodzi o odpoczynek*, pomyślała, po czym leniwie spojrzała na zewnątrz.

- Lea... - rozbrzmiał słodki głosik wydobywający się zza wejścia do jaskini. Aniri wystawiła nieśmiało głowę, opierając się o kamienną ścianę.

- Kolacja jest wieczorem... Nawet nie próbuj pytać - rzuciła Leanora zmęczonym i zniechęconym do życia głosem, zamknąwszy wcześniej zasmucone przez wizję przerwanej drzemki ślepie.

Nie odpowiedziała. Smutna mina podopiecznej zdradzała Lei wystarczająco wiele, by była w stanie oderwać się i zaniepokoić. Chciała zapytać co się dzieje, ale szybko zorientowała się, że Aniri nie przyszła, żeby posłuchać z nią śpiewu ptaków. Liczyła, że nie będzie musiała czekać długo na chwilę zwierzenia. Nie zawiodła się.

- Dzieciaki poleciały dzisiaj rano na sto kilometrów...

Nie był to najciekawszy sposób na rozpoczęcie rozmowy... Tak czy inaczej nie miała zamiaru naciskać. Bała się, że w obecnym stanie nawet mały nacisk może zamknąć małą w sobie, przez co będzie czuła się jeszcze gorzej niż w tej chwili. Podniosła łeb z ziemi i spojrzała na nią delikatnym wzrokiem.

- Nie macie teraz jakichś ćwiczeń?

- Źle się czuję... Puścili mnie do jaskini.

- Rozumiem... - odparła bardzo ciepło, nie spuszczać wzroku z Aniri.

Ciemnozielona smoczyca położyła się, zwijając w kulkę, po czym odwróciła się plecami do opiekunki, przez co ciężko było jej zrozumieć co się właściwie dzieje. Cierpliwość Lei opłacała się już po chwili, kiedy wiercąc się na ziemi smoczyca w końcu odwróciła się w jej stronę i nieco znudzonym głosem rzekła:

- Mówią, że lecimy za jakiś tydzień. Dzieciaki kończą trening... Lecą z nami.

- Nie wyglądasz jakbyś się z tego powodu cieszyła.

- To nie to... Cieszę się... Wszyscy mamy już dość tych kuców, drących pyski każdego dnia. - Głos smoczycy nadal wydawał się ciężko przechodzić jej przez gardło. - Cieszę się... Tylko, że...

- Że się nie cieszysz?

Mała odwróciła głowę, aby znów spojrzeć na spokojną, niezwykle opanowaną, zaniepokojoną, lawendowoluską smoczycę, która łapa zdawała się łapać ze zrozumieniem każde wypowiedziane przez nią słowo.

- Lea... Mogę cię o coś zapytać?

- Pewnie, pytaj...

- Powiesz mi... - rozpoczęła nieśmiało - Skąd masz tę bransoletkę?

Smoczyca natychmiast poczuła, jak wielki entuzjazm i chęć niesienia pomocy ulatuje z niej niczym powietrze z przebitego balonu. Zasmuciła się, oglądając zmartwienie, jakie maluje

się na twarzy Aniri, kiedy zorientowała się, że najpewniej nie doczeka się odpowiedzi na, sądząc po minie, ważne dla niej pytanie.

- Ja... Bo widzisz... - próbowała obmyślić sposób ominięcia konieczności zdradzenia swojej historii, jednak skupiony wzrok małej wskazywał na to, że nie ma już dla niej odwrotu. Westchnęła cicho, po czym opuściła głowę i podniosła łapę, prezentując bransoletę - To pamiątka. Pamiątka po bliskiej osobie.

- To jakiś smok?

Spojrzała na nią zamyślona, po części zdziwiona, tak jakby musiała tłumaczyć komuś najoczywistszą z oczywistości. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jej podopieczna niespecjalnie darzy miłością swoich nieparzystokopytnych przyjaciół.

- Nie, kochanie... - uśmiechnęła się do niej, niby pouczając ją subtelnie co do zbytnej pochopności w osądzie - Kucyk, jednorożec jeśli chcesz wiedzieć.

- W takim razie nie chodzi o Drace?

- Nie, moja droga. - odparła nie obniżając uśmiechu - Chociaż Drace też jest mi bliska... Ale to dłuższa historia.

Aniri wydawała się wyraźnie zawiedziona. Prawdę mówiąc liczyła na coś zupełnie innego... Nie takiej odpowiedzi się spodziewała, a tym bardziej nie spodziewała się, że Lea kiedykolwiek była wychowywana przez kogokolwiek poza czerwonogrywą kłaczą, z którą przebywała od niemal zawsze. Sprawa, z jaką przyszła, zesłała na drugi plan. Teraz smoczyca była ciekawa. Była co prawda ciekawa, ale nie chciała pytać. Czekwała w milczeniu przez dłuższą chwilę, zerkając od czasu do czasu na łapę smoczycy. W końcu jednak jej nie mogła się powstrzymać.

- Kto to był? To znaczy... Kim był ten jednorożec?

Leanora zmarszczyła brwi, wypuściła nosem powietrze, tworząc coś na kształt cichego westchnięcia, po czym położyła się na ziemi i oparła szyję na złożonych ramionach.

- Przepraszam... To nie moja sprawa.

- Nie, nic nie szkodzi, Aniri. Naprawdę nic się nie stało.

- Jak nie chcesz, nie musisz mówić. Nie chcę, żebyś myślała, że jestem wścibska. Ja tylko...

- Spokojnie, słoneczko, nie musisz się martwić na zapas. Nie wiem tylko czy masz czas i ochotę, żeby słuchać mojego paplania.

Aniri położyła się obok na brzuchu, rozluźniając swobodnie skrzydła, które leciutko rozłożyły się i opadły na ziemię, pokrywając boki smoczego ciała niczym zielona kołdra.

- I tak nie mam nic ciekawszego do roboty - podsumowała z uśmiechem na pysku

- Skoro tak twierdzisz. Wracając... Wiecie chyba wszyscy, że kiedy byłam mała, Drace zajęła się mną i dorastałam w chatce, kiedy ona zajmowała się smokami, prawda?

- No tak...

Smoczyca zmrużyła oczy, wpatrując się w górskie szczyty, za którymi kilka minut temu zniknęło zachodzące Słońce.

- Drace zajęła się mną, bo nikt inny nie chciał się mną zająć. Wszystkie jednorożce bały się przygarnąć pod swój dach kogoś takiego jak ja...

- To przez... Twoje skrzydła? - spytała nieśmiało Aniri, po czym natychmiast zamilkła, kiedy uświadomiła sobie, że mogła tym pytaniem uczynić jej sporą przykrość.

- Nie... - odparła z uśmiechem. - Kiedy Drace mnie przyjęła, nawet nie miałam jeszcze skrzydeł.

Byłam o wiele młodsza od was... Miałam chyba pięć lat, kiedy znaleźli mnie w Trottingham.

- Czemu?

- To miasto, w którym mieszkają kucyki... No i ja też tam mieszkałam - dodała po chwili.

- To znaczy... Byłaś wychowywana przez maga tak jak my? - odparła jak zwykle stojąca już dwa kroki dalej Aniri.

- Tak... W pewnym sensie. Kiedy byłam jajkiem, nikomu nie udało się mnie wykluć. Kiedy w końcu się wydostałam, księżniczka kazała zaprowadzić mnie do jednego z dorosłych magów, który postanowił przysiąść mnie, więc koniec końców zabrał mnie do siebie... do Canterlot. Pracował w Akademii, ale nie mieszkałam w niej, tak jak wy. Mieszkałam w jego domu razem z jego kłaczą i żrebakiem... Traktowali mnie jak członka rodziny.

Smoczyca spojrzała na swoją łapę. Spokojnie położyła głowę na złożonych przedramionach i nie spuszczać wzroku z bransoletki, opowiadała dalej.

- Medley był moim braciszkiem. Bawiliśmy się razem, przez kilka lat nawet spaliśmy w jednym pokoju. Do czasu, kiedy... On też chciał zostać magiem. Byłam mała... Chciałam mu pomóc i... Nie pamiętam co się właściwie stało, ale dobraliśmy się do szafki z eliksirami, a przez to, co znaleźliśmy, Medley wypadł w szpitalu. Jego rodzice bardzo się martwili. Odwiedzaliśmy go, kiedy tylko mogliśmy. Widziałam, jak każdego dnia wywożą go na operację, ale zatrucie było chyba zbyt ciężkie, żeby go wyleczyć.

Lekko poruszona Aniri podejrzewała, że zna dalszy ciąg opowieści. Już miała dać Lei znak, że nie musi kończyć, ale ta prędko powstrzymała ją, chcąc najwyraźniej wreszcie wyzalic się komuś, kto po długiej przerwie pragnął okazać jej choć trochę uczucia.

- Pamiętam jak któregoś razu czekaliśmy, aż wyjedzie z sali, dowiedzieliśmy się, że operacja się nie udała... Jego mama płakała... Kiedy wróciliśmy do domu całkiem sami i położyłam się w koszyku, jego ojciec przyszedł wieczorem i podarował mi to... Jego ulubioną bransoletkę i powiedział, że Medley na pewno wolałby dać ją mnie, niż gdyby miała wylądować na zawsze w szafce albo w śmietniku. Kiedyś kupiliśmy ją na paradzie koło pałacu... To był drobiazg... Jest takich pełno, ale tą kupił razem ze mną... Tak wiele dla niego znaczyła...

Zamilkła. Aniri podsunęła się do niej i otuliła ją skrzydłem, żeby chociaż trochę ją pocieszyć. Nie wiedziała jednak czy w jakikolwiek sposób może jej pomóc. Ta jednak usilnie hamowała smutek, a już tym bardziej łzy, których obecność była dla Lei całkowicie niemiła widziana.

- Oddali cię pod opiekę Drace?

- Wręcz przeciwnie. - odezwała się, protestując. - Oni nie byli na mnie źli... Oni byli... Mili. Zbyt mili. Dalej mieszkałam z nimi, karmili mnie, uśmiechali się do mnie... Traktowali mnie, jakby nic nigdy się nie stało. Wydawało się, jak gdyby traktowali mnie dokładnie tak jak przedtem... Ale ja nie mogłam tam zostać. Bałam się patrzeć im w oczy, kiedy wiedziałam, że przeze mnie zginęło ich jedyne dziecko. Zabrałam bransoletkę, kilka klejnotów i pewnej nocy wymknęłam się z ich domu... Potem wsiadłam do wozu transportowego i uciekłam z Canterlot.

Smoczyca na chwilę zatrzymała, starając się przypomnieć czasy, które nadeszły po jej ucieczce, ale trudno jej było mówić o czymś, z czego nie była dumna. Aniri jednak błagała ją wzrokiem o kontynuowanie historii.

- No, więc... Żyłam sama. Pojechałam do Trottingham. To duże miasto, więc kradłam diamenty, żeby nie zacząć głodować. Z czasem sama nauczyłam się ich szukać, ale do tego czasu

zdażyłam narobić sobie wrogów. W końcu, po kilku miesiącach, kiedy grzecznie grzebałam w ziemi w poszukiwaniu klejnotów za granicami miasta, złapał mnie jeden z jednorożców, a kiedy mieszkańcy dowiedzieli się, że w pobliżu jubilera grasował złodziejski, niebezpieczny, mały smok, wszyscy sklepikarze, którym zdażyłam coś ukraść, zesłali się na plac, żeby zaprowadzić mnie do straży miejskiej. Potem zamknęli mnie w klatce i zastanawiali się w jaki sposób się mnie pozbyć... - zamilkła na chwilę. - I wtedy dowiedziała się o mnie Drace. Tamtego dnia jeszcze nie zajmowała się szkoleniem smoków do lotu. Pomagała jednorożcom opiekować się małymi smoczątkami i studiowała podstawy hodowli na bezpośrednie zlecenie księżniczki Celestii... Znalazła mnie i powołała się na swoje znajomości, żeby wyciągnąć mnie z tarapatów, a ponieważ żaden z magów w Akademii nie chciał podjąć się wychowania takiego wrednego "potwora" jak ja, przygarnęła mnie... Oł, cała historia. Wiesz nawet więcej niż chciałaś.

- A co z... lataniem? Przecież kiedyś musiała zacząć treningi.

Smutek związany z ciężkimi wspomnieniami zniknął na chwilę, a zamiast niego nadeszła chwila nostalgii. Na przegnętionym jak dotąd obliczu Aniri mogła nawet dostrzec leciutki wyraz spokoju.

- Jednorożce szybko zauważyły smykałkę Drace do radzenia sobie z takimi gadzinami jak ty czy ja. Wiesz, że znaczek na boku kuca pokazuje wszystkim jakie jest jego największe zamięłowanie... Albo wyjątkowy talent?

- Teraz już wiem - odparła dumnie, próbując sobie przypomnieć, co tak właściwie znajduje się na boku klaczy.

- Smocze jajko w gnieździe. Drace od dziecka wiedziała, że będzie zajmować się smokami. To była jej pasja. A kiedy przygarnęła mnie, musiała znaleźć jakieś zaciszne miejsce, w którym będzie mogła odnaleźć spokojny kącik, gdzie z dala od niewinnych kuców będzie mogła zajmować się małym, rozwyrzonym, chomikującym i podkradającym rzeczy na potęgę bachorem. Stąd wziął się pomysł zamieszkania we Wschodnich Górach... Wciąż jeden dzień drogi od Canterlot, niedaleko od Cloudsdale, w miejscu, gdzie pełno jest jaskiń i klifów idealnych do nauki latania... Zaprojektowane po to, żebym spokojnie nauczyła się latać... A teraz należy do was.

- No i jak zwykle plany nie wypaliły - podsumowała Aniri, uśmiechając się do Leanory. Ta jednak nie odwzajemniła uśmiechu, a jedynie włożyła głowę w ramiona i starała się udawać, że nie przykuwa uwagi do swojej niedoskonałości. Mała właśnie zrozumiała jaki nietakt popełniła. - Lea, ja... O mój świecie, przepraszam. Ja nie miałam na myśli, ja... Nie chciałam...

- Spokojnie... Nie umiem latać i najpewniej już nigdy nie będzie mi dane tego naprawić. Uwierz mi, że już nauczyłam się z TYM żyć - odparła z nie do końca szczerym uśmiechem, wskazując na wykrzywione skrzydło, silnie zaciśnięte do boku.

- Lea... Dzięki, że mi o tym powiedziałaś.

- Nie ma sprawy, złotko... Czasem dobrze jest się komuś wygadać. - Po chwili prawdziwy, promienny uśmiech wymalował się na jej pysku. - A tak w ogóle, to rozmawiamy o mnie, a to ty przyszedłaś do mnie z jakąś sprawą... Skoro już się rozgadałyśmy, to może ty wreszcie weźmiesz się w garść i powiesz co ci leży na wątrobie?

Aniri zawstydziała się, po czym zwinęła skrzydła, podwinęła ogon i nieśmiało położyła głowę na podłodze układając brwi w przerażony wyraz. Najwidoczniej usilnie starała się uniknąć poruszania tego tematu.

- No, nie krępuj się. Chyba teraz twoja kolej. Ja już powiedziałam więcej niż chciałam.
- Lea... Bo ja... Wiem, że jesteś tutaj wychowawczynią i tak dalej... Ale... Mogę cię o coś zapytać w całkowitym sekrecie?

Lawendowa smoczyca zdziwiła się troszkę żądaniem małej, ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że mogła spodziewać się takiego pytania. Uśmiechnęła się do niej promiennie, po czym odpowiedziała:

- Oczywiście... W sekrecie.
- Ale nie pytam ciebie, jako wychowawczynię... Mogę cię zapytać... Jak przyjaciółkę?

Spojrzała na nią z rosnącym zdziwieniem, bezwiednie unoczając jedną brew. Ta jednak była poważna i wyraźnie zmartwiona.

- Tak sądzę... Pytaj.
- Ale nie opowiesz nikomu?
- Nie... Obiecuję...
- Ale na pewno?
- Tak, nie pisnę słówka. Możesz mi wierzyć.
- No bo... Lecimy na migrację już niedługo, a ja...

Rozejrzała się dookoła, po czym szepnęła jej do ucha, ze strachu przed tym, że któryś z chłopaków wróciłby wcześniej z wieczornego treningu. Lea słuchała uważnie, ale wraz z kolejnymi częściami opowieści robiła się coraz bardziej przerażona, ale również coraz bardziej rozbawiona. Nie mogła oczywiście okazać tego Aniri... W końcu musiała wysłuchać wszystkiego z całkowitą powagą, nawet jeśli pytanie dotyczyło... grząskiego gruntu.

- Cieszę się, że obdarzasz mnie takim zaufaniem, żeby o tym porozmawiać, ale... - prychnęła cicho. - Wiesz... Nie mam zbyt dużego doświadczenia w tej kwestii.
- Ale nie wygadasz?
- Na pewno, ale... Może lepiej by było, gdybyś ty sama... Albo ze mną jeśli wolisz, pogadała o tym z Drace? Naprawdę, uwierz mi. Ona to trochę studiowała i wie więcej o... tych sprawach.
- Przecież nie będę gadać o takich rzeczach z kucami! - oburzyła się natychmiast mała buntowniczka. - To obleśne! Myślałam, że mi pomożesz!
- Pomogę, pomogę... Tylko nie wiem... Jak do tego podejść?
- Jesteś moją jedyną nadzieją... No... Co ja mam zrobić? Jeśli nie spytam się ciebie, to kogo mam pytać?
- No dobrze, dobrze... Coś wymyślę. Może znajdę jakąś książkę o tym w rupieciarni, którą Drace ma na górze.
- Ale... Dyskretnie...
- Spokojnie... Dyskrecja to moje drugie imię, ale... Rany... Drace nie ma jeszcze dwa dni. Nie mogłaś sobie wybrać lepszego momentu, żeby się o to pytać!

Aniri uśmiechnęła się tryumfalnie do zakłopotanej wychowawczyni.

- Można powiedzieć, że mam dobre wyczucie czasu... I wiem jak pytać, żeby uzyskać to, na czym mi zależy.
- I ty jeszcze chcesz jakichś porad. To raczej ja powinnam kierować się z radami do ciebie...
- Możesz nie żartować? To poważna sprawa...
- Zabójczo poważna - parsknęła cichym śmiechem. - Dasz mi czas do jutra?
- A nie możesz pójść teraz?

- Co ja z wami wszystkimi mam? Dobra, niech ci będzie... Idę teraz... Ale jak znowu zaklinuję się na schodach, to dla żarcia będziecie musieli się włamywać przez okno na piętrze.
- Stoi.
- To miał być żart...
- Skoro tak twierdzisz...

=====

<< [Rozdział XXXVII](#) - [Rozdział XXXIX](#) >>

[Spis rozdziałów](#)